Tom II. Nr. 11.

11. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW KRZYWOUSTY.

II.

Na krakowskim zamku stawili się posłowie od cesarza Henryka z Niemiec i taką groźną mowę przynieśli królowi:

— Zapytujemy ciebie, królu polski Bolesławie, w imieniu cesarza naszego, dla czego wypędziłeś z kraju brata Zbigniewa i pozbawiłeś go majątku, co mu się prawnie należy?

Odpowiedział Bolesław: — Nie wiem ja, zkąd wasz cesarz ma prawo zapytywać mię o to, jakby właśnie był moim panem a ja jego poddanym. Z tego com uczynił, nie myślę zdawać sprawę nikomu. Jestem sobie tak dobrze królem w polskim kraju, jak wasz cesarz w niemieckim, i niczyich nie znoszę rozkazów.

Na to posłowie: — Wybacz królu, ale taki mamy rozkaz od cesarza, powiedzieć tobie, że jak nie posłuchasz, a nie przyjmiesz brata Zbigniewa do kraju, i nie oddasz mu połowy państwa twego pod zarząd, to będziesz miał wojnę z cesarzem.

— Co robić! powie król — Bóg widzi żem wojnie niechętny, bo mi żal ludzi co na niej giną niewinnie. Ale jużcić na nosie grać sobie nie dam nikomu — niechże będzie i wojna, kiedy się wam tak gwałtem jej zachciewa. Zobaczymy kto zwycięży.

Temi słowy odprawił Bolesław posłów niemieckich — i duchem jął się gotować do wojny. Na wszystkie strony porozsyłał konnych posłów z listami: to do polskich rycerzy, żeby się mieli w pogotowiu — to na Ruś i na Węgry, żeby mu ile tyle żołnierza przysłano na pomoc.

— Radził ja wam w potrzebie — pisał on w tych listach do przyjaźnych sobie Rusinów i Węgrów — radzili i moi przodkowie każdą razą gdyście jeno ich zapotrzebowali, toć się godzi i mnie teraz poratować, kiedy mam mieć wojnę z takim mocarzem jak jest cesarz.

Aliści jeszcze nie ze wszystkiem się przygotował, gdy razu jednego przypadł posłaniec ze *Szlązka*, kraju polskiego, donosząc królowi, jako już wojska cesarskie wkroczyły do Szlązka i miasto *Głogów* obległy. Wprawdzie Głogowianie zuchy bronią się jak mogą za murami, ale przemoc wielka; wzywają więc króla, żeby im co najrychlej przybywał z ratunkiem, bo inaczej to może i upadną.

Odpowiedział im król przez tego samego posłańca, iżby się do ostatniego bronili, i że on tam wkrótce sam z wojskiem nadejdzie.

Owoż Głogowianie posłuszni tej woli królewskiej, dniem i nocą stoją na murach i serdecznie się bronią. Cesarza złość brała, że takiej mieścinie nie mógł poradzić, chociaż miał wielką moc wojska — mieszczanie zaś prosili pana Boga, żeby jeno wytrzymali, zanim się król polski pokaże. — Toż czekają dzień, czekają dwa dni, a wciąż wyglądają na drogę od Krakowa, czy się nie pokażą nasi... gdzie tam! ani słychu dychu — a tu bieda, że niech pan Bóg broni! Cesarscy srodze na nich naciskają, już prawie do miasta się wdzierają.

— Matko Najświętsza, ratuj! wołają Głogowianie i bronią się ostatkiem sił.

Trzeciego dnia koło południa coś niby zagrzmiało i zadudniła ziemia. Myślano że się burza zrywa; patrzą po niebie: żeby choć jedna chmurka to nie — co to jest?... Aż tu na drodze od Krakowa wzbiła się wielka chmura kurzu, i zaraz potem rozległo się straszne trąbienie w powietrzu i tętent cwałujących koni.

W nieprzyjacielskim wojsku powstało srogie zamięszanie. Dopiero widząc to, zmiarkowali Głogowianie co jest: że to nasi przybyli im w pomoc. Nie namyślając się długo, wypadli z miasta, i hurra! na wroga. — Ten z dwóch stron napadnięty, musiał rad nie rad zmykać z pod Głogowa, a nie oparł się aż pod miastem Wrocławiem, co jest także na Szląsku. Tam na szerokiem błoniu rozłożył się dumnie obozem i oczekiwał Polaków. Bolesław nie dał długo na siebie czekać. Już nazajutrz pokazali się nasi pod Wrocławiem — chcieli oni zaraz uderzyć na nieprzyjaciela, ale Bolesław kazał im jeszcze poczekać. Popatrzył on na swoje i na to drugie wojsko! i zrobiło mu się żal tego wszystkiego luda, co się miał pan Bóg wie za co rzucać na siebie i srodze mordować. Przywołał tedy jednego ze starszych panów, niejakiego *Skarbka*, i taki mu wydał rozkaz:

— Pójdziesz mi do tamtego obozu i zapytasz cesarza: czy chce z Polski ustąpić w dobry sposób albo nie?

Dosiadł więc Skarbek konia i z jednym trębaczem wyruszył ku nieprzyjacielskiemu obozowi. Gdy się już dobrze zbliżył, kazał trębaczowi zatrąbić, aby tamci poznali, że to poseł jedzie od króla i żeby mu wolną zrobili drogę.

Pyta cesarz: — Za czem przybywasz do mnie od króla twego?

Skarbek powiedział jak mu było nakazano.

Odrzeknie cesarz: — Nie na tom przyszedł do Polski, abym nic nie skurawszy, do domu wrócił. Niech się stanie sprawiedliwość Zbigniewowi, który się oddał w moją opiekę, a będzie zgoda między nami — inaczej gotujcie się do bitwy. Oto moja odpowiedź i na tem koniec.

Już się Skarbek zabierał do odejścia, kiedy go jeszcze zatrzymał cesarz i poprowadził do jednej wielkiej skrzyni, co

stała na boku. W tej skrzyni było pełno złota i innych drogich rzeczy.

— Patrzaj, powiada wskazując na te skarby — mam ja czem pobić twego pana.

Poseł nie wiele myśląc, zdjął pierścień złoty co miał na palcu i cisnął go do skrzyni, mówiąc: — Idź złoto do złota; my Polacy więcej się w ostrem żelezie kochamy niż w złocie.

— *Habdank!* odpowiedział cesarz po niemiecku, co znaczyło na polskie *dziękuję.*

Od tego czasu skarbek i jego cała rodzina dostała na przydomek: *Habdank* — a król i cały naród bardzo go pokochali, że się przy tej okazyi tak walnie spisał. —

Przyszło tedy do wielkiej bitwy na tem szerokiem polu pod Wrocławiem — nasi wygrali i cesarskich pobili na łeb na głowę. Aż strach powiedzieć co ich tam poginęło: trup leżał przy trupie, jeden wedle drugiego jak snopki na polu. A że nie było komu pogrzebać onych zabitych, to się nazlatywało dużo ptactwa drapieżnego i wielkie gromady psów głodnych, i rozwłóczyly ich kości wszędy po szerokiem polu. Dla tego po dziś dzień jeszcze to pole nazywają ludzie: *Psiem polem.*

Tak się skończyła ta wojna niemiecka. — Przekonał się Zbigniew ladaco, jako z Bolesławem niebezpieczno iść na upartego. Udał się więc w pokorę i prosił króla o przebaczenie.

— Dobrze! powiedział Bolesław —ja mu i tą razą wybaczę i pozwolę wrócić do kraju; ale niech go Bóg broni, żeby miał jeszcze kiedy kopać dołki podemną i w kraju robić zamięszanie.

Taka była odpowiedź królewska. Ponieśli ją bratu oni, co się za nim u króla wstawiali. Niebawem książe Zbigniew nadjechał z *zagranicy.* Wszyscy myśleli, że jako pokutnik stawi się na ziemi polskiej, której przecie tyle złego wyrządził — a on tymczasem niby sam król tak dumnie wjeżdżał do miasta Krakowa; kazał grać w trąby, bić w kotły i nieść miecz książęcy przed sobą. Na to cały Kraków się oburzył:

— Jakto! wołano ze wszystkich stron — taki zdrajca śmie jeszcze głowę zadzierać do góry i każe sobie robić królewskie honory?

Król się także rozgniewał. Zrozumiał on, że Zbigniew nie myśli szczerze o poprawie i że się jeno tak zadał, prosząc o przebaczenie, aby wrócić do kraju i módz po dawnemu broić. Kazał go więc pojmać i wtrącić do więzienia, gdzie też wkrótce marnie zginął.

Po śmierci tak niegodnego brata, długo jeszcze panował nasz *Krzywousty*, a szabla jego co ją sam przezwał: *żurawem*, cudów dokazywała. Aż mając lat pięćdziesiąt i coś, podupadł na zdrowiu. Jął tedy myśleć o ostatniem rozporządzeniu. Miał on pięciu synów, z tych najmłodszy był *Kazimierz*. Owóż między czterech starszych podzielił kraj cały, a o najmłodszym powiedział: że kiedy cztery koła są u wozu, musi tam ktoś piąty siedzieć na wozie i niemi kierować. Tak się też i stało, bo Kazimierz przyszedł potem do całej władzy i nad wszystkimi panował.

Na ostatek muszę wam jeszcze powiedzieć, jakto za czasów tego Bolesława karano tchórzów, co woleli z pola umykać a niżeli bić się do upadłego. Wprawdzie rzadkie to bywały wypadki, zwłaszcza u nas, coś my się zawsze mężnie bijali. Ale i między najlepszymi może się taki znaleść wyrodek, co się potem za niego jeno wstydzić wypada. Owoż i za Bolesława zdarzyło się raz, że taki tchórz zmykał z pola, skoro zobaczył że wielka przemoc była po stronie nieprzyjaciela. Król się o tem dowiedział i posłał mu na podarunek: *wrzeciono*, *skórkę zajęczą* i *garść konopi*. Wrzeciono znaczyło, że jest babą; skórka zajęcza, że uciekał jak zając, a garść konopi, że niegodzien jak stryczka. Dostawszy taki ohydny podarunek od króla, on rycerz tchórzem podszyty tak sobie wziął do serca, że zaraz z konopi powróz sobie ukręcił i obwiesił się na dzwonicy.

Umarł Bolesław Krzywousty roku pańskiego 1139 — więc lat już temu 721. Po wielkim królu wielka bywa żałoba — mijały lata, a Polska długo nie mogła odżałować swego Bolesława.

Śpiewka na wiosnę.

Oj świergocze skowronek w górze,
Panu Bogu wyśpiewuje rado, —
Oj Anieli, ci niebiescy stróże
Płaszcz zielony het po ziemi kładą —

Na obłoczkach jadą,
Płaszcz zielony kładą,
Śnieg się słonka wstyda,
Z nieba już nie kida.

Hej woły, moje woły, orzcie że mi rolę;
Hej ptaszę, proś ta w niebie o lepszą nam dolę —

Hej ziarno, moje ziarno, niech cię Bóg ocali,
Oj żeby dobrzy ludzie głodu nie zaznali.

Stary bociek po żabieńcu chodzi,
Oj nawdział wielkie buty czerwone;
Pisklęta stara kokosz wywodzi,
Odgania i krogulca i wronę. —

Wodźże pani matko
Dzieci twoje gładko,
Słońce się już śmieje,
Piórka jem ogrzeje.

Hej boćku, mój ty boćku, zwołajże czeladzi,
Oj wybierz do jednego tych co nam nie radzi —

Hej gospoś, moja gospoś, dbajże o dzieciska,
Niech Pan Bóg je uchowa, kochają ludziska.

Grześ z Mogiły.

SEN.

Opowiadanie Józefa z pod Opatowca.

„*Sen mara, Bóg wiara*“ — mówią ludzie; jednak zdarza się często, moi kochani, że Pan Bóg i przez sen ludziom się objawia, aby ich zbawił. — Tak prawił Józef do otaczającej go gromady. Wiecie dobrze, jaki to człek był przed nie wielu laty z nieboszczyka Jana Opałka — Panie świeć nad jego duszą! A jak umarł! bogdaj każdy z nas taką śmiercią mógł iść z tego świata. Wszyscy się nadziwić nie mogli, co się stało, że z Jana Opałka, największego pijaka we wsi, ba nawet w całej okolicy, naraz taki rzetelny stał się człowiek.

Opowiadał on dla nauki niejednemu, jak go Pan Bóg nawrócił. Słyszał ci i ja nieraz od niego, i teraz to opowiedzieć nie zawadzi dla waszej przestrogi i nauki.

Kiedy Jan Opałek wszystko ze skretesem przepił, a nakoniec ostatnią krowinę odwiązał od żłobu, zawiózł na jarmark do Szczurowej i tam sprzedał, wracał pijany z jarmarku, przewalił się do fosy i usnął. Gdy się już dobrą chwilę przespał, śnią się mu okrutne rzeczy! Oj! gdyby niejeden pijak, przechodzący na ten czas koło Jana, był ten sen jego widział, każdy tak jak i on byłby się na wieki wieków gorzały wyparł. — Ten sen zaś tak mi sam nieboszczyk opowiadał: — Gdym tak jak nieprzymierzając bydlę leżał pijany w błocisku w onej fosie, naraz widzę się w wielkiej izbie: ściany czarne jak smoła, a po nich nieprzymierzając jak u nas obrazy, porozwieszane były jedna koło drugiej, jakbyście nalepili, same trupie głowy, i różne kości ludzkie. Na razie nikogo nie było w onej izbie, jeno rzędem stały stołki, jak to u panów bywają. Naraz zrobił się jakby szum jaki — patrzę, aliści przeokrutna *Śmierć z kosą* włazi do izby i siada na stołku co stał pośrodku. Ja na ten widok z wielkiego strachu wlazłem wam, mój kumie, w taką małą dziurkę co była pod progiem, żeby tam ledwo mysz się

zmieściła. Po chwili z ciekawości wyściubiam głowę z onej dziury, aż tu sypią się rozmaite osoby i zasiadają po jednej i po drugiej stronie onej Śmierci. A to były rozmaite choroby, które zwykle śmierci służą, bo ją sprowadzają.

Jak już wszystkie te osoby zasiadły, tak ci dopiero wstaje Śmierć i tak się odzywa: Dziś obieram pierwszego ministra — kto najwięcej zasług wyliczy, ten zostanie moim ministrem. Na te słowa wstaje osoba ona, co jej *Febra* na imię i wylicza swoje zasługi, ile to ona ludzi do śmierci przyprowadziła. Potem: *Suchoty*, *Kolki*, *Gościec*, *Kołtun*, *Puchlina*, *Ospa*, *Tyfus*, *Biegunka*, *Starość*, *Paraliż*, po kolei swoje wyliczały usługi. Gdy się tak wszystkie te choroby sprzeczają, wlatuje z krzykiem, hałasem i muzyką osoba przebrzydła, co jej stało na czole napisane: *Pijaństwo*. Jak ono Pijaństwo stanęło przed Śmiercią i niziutko się jej pokłoniło, potem machło ręką na bok i zawołało, obracając się do onych rozmaitych chorób: — Precz ztąd wszystkie i ani się waż która, starać się o urząd, co się mnie słusznie należy. Zkad wy wszystkie choroby początek macie, jeżeli nie ze mnie? Jam jest wszystkich was matką. Pijaństwo będzie pierwszym ministrem, bo ze mnie febra, ze mnie suchoty, ze mnie wrzody, ospy, puchliny, paraliże, dychawice, kolki się rodzą.

Na to podniosła się straszna Śmierć i rzekła: — Tak jest, Pijaństwo będzie od dziś pierwszym moim ministrem. —

Jakci potem Śmierć naprzód, a one wszystkie choroby za nią wylatywały z izby, takem ci się, siedząc w onej dziurze pod progiem, od razu przebudził.

Straszny pot wystąpił na mnie — mówił dalej Opałek. Zmiarkowawszy gdzie ja jestem, wylazłem z fosy, ogarnąłem z siebie błoto, i począłem w cwał uciekać do domu. Ale darmo! już nie można było oddalić więcej tego widma, co mi się przyśniło w onej fosie i mówię wam, mój kumie, choćbym i sto jeszcze lat żył, to ono nie zlezie mi więcej z ócz. —

Otóż widzicie, prawił dalej Józef — tym snem nawrócił Bóg miłosierny Jana Opałka do siebie. Tak sobie obrzydził gorzałkę, że wolałby był tysiąc razy umrzeć, jak raz gorzałki powąchać,

A jaki się z niego potem stał człowiek, jaki gospodarz, jaki sąsiad — wszyscy o tem wiecie. Za dawne zbytki, płaczem, postami, nieustanną modlitwą i częstemi spowiedziami przepraszał Boga, a ciężką pracą starał się to wynagrodzić, co dawniej pijaństwem przemarnował.

Nie ma grzechu, któryby więcej złego ściągał na ludzi jak pijaństwo: niedostatek, ubóstwo, choroby rozmaite, kaleczne dzieci, a w końcu i same piekło.

Prośmy zatem Boga, aby wszystkich pijaków do siebie nawrócił i aby nie pozwolił, żeby kto z nas kiedy popadł w to straszne nieszczęście. Nie oddajmy naszego zdrowia, które nam Pan Bóg do pracy udzielił, za gorzałkę — ale sobie często powtarzajmy:

Kochane zdrowie, nikt się nie dowie, — ile kosztujesz aż się zepsujesz.

PTASZKOWIE

jako nam z Bożej łaski służą w gospodarstwie.

Znali ludzie w całej wsi Macieja, że byłoć to chłopisko rządne i gospodarne, jeno co sobie małe rzeczy siła ważył, a o wielkich nie pamiętał. Jak bywało ziębę albo wróbla na trześni w sadzie zobaczy, to ci już hałasuje i kijem za niemi rzuca, choć mu kij gałęzie połamał i więcej trześni napsuł, niż coby sto ptaków zjadło. A jakci przydybał wróble w stodole, Chryste Panie! to już bywało rady sobie dać nie może. Ale zato nie wiedział oględny Maciej, kiedy mu psotniki do sadu się zakradły, albo zły parobek zboże ze stodoły wynosił.

Raz, jeno co na wiosnę, przychodzi do stodoły, a tu wróbli aż czarno. Złapał się Maciej za głowę i już się zaklął, że wszystkie bestyje co do jednego wytłucze. Skoczył więc chyżo do chałupy, przyniósł ze sobą więcierz co miał na ryby, i uwiązał go z jednej strony u stropu, kędy wróble wlatywały. Z drugiej strony zatkał dziurę słomą, zamknął wrota, i nuż cepem gonić

wróble po całej stodole. Jużci wróble musiały lecieć do więcierza, bo nie było innej rady.

A że to była pogoda jak się patrzy, więc sobie ksiądz proboszcz wyszedł trochę w pole. Przechodził właśnie wedle obejścia Maciejowego — patrzy na stodołę, aż ci się tam u strzechy więcierz niby żywy rusza. Zdziwiło go to nie pomału, bo jużci ryb w stodole nie ma, więc stanął sobie i patrzy co to z tego będzie. Ażci się tu w środku ręce pokazały i więcierz wciągnęły do stodoły, a po chwili uchyliły się wrota i wyszedł uradowany Maciej z pełną siecią na plecach.

— Niech będzie pochwalony! Macieju! a co tam niesiecie? zawołał ksiądz proboszcz zdziwiony.

Maciej zdjął kapelusz i pokłonił się do kolan księdzu proboszczowi:

— Ej proszę Jegomości! dyć to te szkodniki, wróble.

— A nacóżeś ich ty łapał, na pieczenię? — zawołał ksiądz proboszcz — wypuść że ich zaraz!

Maciej poskrobał się w głowę i znowu skłonił się do kolan:

— Oj mój Jegomościuniu! dyć to psotniki, najadły mi one żyta, a pszenicy!

— No i cóż, zjadły ci ze dwa korce? — zapytał ksiądz proboszcz.

Uśmiechnął się tedy Maciej, bo gdzież ta dwa korce na tę gromadkę wróbli.

— Dwa korce jak dwa korce, ale jak na złe czasy to i kwarty szkoda! —

— A no, kiedy już ich tak nie chcesz puszczać — mówił ksiądz proboszcz — więc ci powiem na rozum, mój Macieju, żeś źle zrobił. Mówiąc na to, musisz wiedzieć, że wróbel i jaskółka więcej nam pomagają niźli szkodzą.

— Ej, ta Jegomość chyba żartują — wtrącił Maciej, bo mu się to coś głowy nie czepiało.

— Poczekajże, a masz ty parobków? — zapytał ksiądz proboszcz.

— O, dyć mam, proszę Jegomości! Janka, Walka i dziewkę jedną....

— To więc ty jeno masz tyle parobków co im płacisz

i jeść dajesz, a nie wiesz, że wróbel i jaskółka to także twoje *parobki*. Musisz wiedzieć mój Macieju, że wróble nie próżnują jak tylko ciepło się zrobi. A jak się gnieżdżą, to jużci karmić muszą we dwoje swój drobiazg. Tobyś ty, mój Macieju, ani zrachował co te ptaszęta przez jeden dzień robaków, glist i chrząszczów nanoszą! Oj byłaby tego pewnie spora miska! Więc kiedy ci bronią, żeby chrząszcze drzew w sadzie nie objadały i żeby ci glisty i kruczki nie psuły żyta — to cóż ta dziwnego, że sobie potem choćby po parę trześni zjedzą, albo kiedy zima nadejdzie, twojem ziarnem się pożywią? — Wszakże ty im nie płacisz?

— Ej a zkądby znowu, mój Jegomościuniu! — zaśmiał się Maciej.

— Jaskółka zaś — mówił dalej ksiądz proboszcz — wyjada muchy i komary. Bez niej byłoby ich tyle, żeby ci wszystko zjadły, niczembyś do gęby włożył, a na ostatku toby i ciebie samego zakąsały. Kiedy jaskółka zje tysiąc sztuk tego plugastwa na dzień, to sobie jeszcze krzywduje że mało. Musiałeś przecie widzieć, mój Macieju, jakto się jaskółki nad ziemią uwijają, kiedy ma być burza. Przed burzą spuszczają się zwykle całe czerniawy komarów niżej nad ziemię — toż jaskółka wtedy ugania sobie między komarami. A ma ci ona taką lipką ślinę w garle, że jak tylko komarzego skrzydła się dotknie, to ci on zaraz cap — i lepnie. To też jak sobie raz między czerniawą posunie, to ich się tam setnie naprzylepia!

— O rety! — zawołał Maciej i wybałuszył oczy że mu mało na wierzch nie wyskoczyły.

— Powiem ci dalej, mój Macieju, że sikora, szczygieł, królik, żołna, to są twoje *sadowniki*. Sikora poluje za gąsienicami i mszycami co się na listkach gnieżdżą. Musisz ano wiedzieć, że sikora ze 20 maleństwa do roku wychowuje. Jeżeli więc porachujesz że ci jedna sikora 300 tego plugalstwa na dzień wyje, to pomyśl sobie, co jedna parka razem z dziatwą zjedzą. Oj! nie zliczyłbyś ty ani za tydzień tego, co one przez dzień robactwa wygubią. Albo i szczygieł, wie on czego się czepiać. Najlepiej smakuje mu nasienie z bodiaków i ostów; to też sobie gryzie aż uciecha bierze. Cały sad porósłby ci człeku ostami,

żeby nie szczygieł. O króliku ci zaś powiem, że on majster malutki to sobie tylko sprytnie same jajka tych różnych much i i owadów wynajduje i zje nim się jeszcze wylęgną. A żołna, choć ta rzadko do twego sadu przylatuje, przecież dba o to, żebyś miał jaką gruszczynę wziąć do gęby. Ona to straszliwie się zawzięła na osy i gdzie jeno tylko jaką zobaczy, to ją piorunem uśmierci.

— Oj proszę Jegomości! a dyć ja nie wiedział że mam takich niebieskich robotników — zagadał znowu Maciej.

— Masz, mój gospodarzu, setnych robotników, co się Pan Bóg jeno o nich stara. Powinieneś więc ich szanować, nie pozwalać chłopcom żeby gniazda wybierali i broili z ptaszkami. Ano widzisz, widzisz! zawołał głośno ksiądz proboszcz — o wilku mowa a wilk tu! Popatrz jeno po za siebie!

Oglądnął się Maciej, patrzy, aż tu jego chłopak drągiem sięga pod strzechę, gdzie sobie jaskółka gniazdo ulepiła. Porzucił więcierz z wróblami na ziemię, a jak stał tak skoczył do chłopaka i nakręcił mu uszy uczciwie — że się aż srodze rozbeczało chłopczysko.

Ksiądz proboszcz tymczasem przyszedł także przed chałupę, usiadł sobie na ławce i kiedy Maciej wrócił, jął mu jeszcze dalej opowiadać.

A co mu dalej opowiadał dowiecie się później.

PRAWDY GOSPODARCZE.

Pytanie. Czem się gospodarz najwięcej bogaci?

Odpowiedź. Dobytkiem — bo gdzie wiele bydła, tam wiele gnoju, a gdzie wiele gnoju tam i dobry plon. Powiadają też starzy:

Gdzie pełno w oborze,
Tam pełno w komorze.

Pyt. Jak gospodarz powinien paść swój dobytek?

Odp. Iżby z niego miał i gnój dobry, i robotę sporą, i pożytek wszelaki i przychowku dosyć. Więc nie samą słomę i plewę bydełku dawać, ale też i siano albo koniczynę, wykę, ziemniaki i inne warzywo:

Gdzie karma w samych plewach,
Tam bywa chudzizna w chlewach.

Pyt. Co jeszcze gospodarz winien mieć na baczeniu w obrządzaniu się swem około dobytku?

Odp. Żeby koń, bydlę, owca i trzoda miały pod sobą sucho, na sobie czysto, przed sobą w żłobach i korytach porządnie i schludnie:

Dozór, czystość, suche stanie,
Bydłu za pół karmy stanie.

Pyt. A czy może być dobry gnój bez dobrej paszy?

Odp. W żaden sposób nie może być:

Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

Pyt. Jaki nawóz trzeba w pole wywozić?

Odp. Słomiasty w piaszczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny — więc powiadają starzy;

Na ścisły, gliniasty,
Dobry gnój słomiasty —
A na piaszczysty,
Przegniły, maścisty.

Pyt. Jak należy gnojowisko urządzać?

Odp. Obrać na to miejsce suche, osłonięte od południa budynkiem albo drzewiną — dla wody deszczowej porobić odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła — gnój z obory za każdem wyrzuceniem równo układać.

Pyt. Co się jeszcze gospodarzowi na gnój przydać może?

Odp. Wszystko, coby inaczej zmarniało: błoto, śmiecie z podwórza, popiół z ogniska, kępiny i rumowiska:

Spłuczyny i domowe śmiecie,
Na nawóz zdadzą się przecie.

Pyt. Jak się gospodarz powinien obchodzić z gnojem wywiezionym w pole?

Odp. Zaraz rozrzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorywki, dla tego powiadają:

Jak pokryjesz gnojem rolę,
Ładuj potem pługi w pole.

Pyt. Czy dobrze jest w polu trzymać gnój długo na kupach?

Odp. Bardzo źle, bo go słońce i wiatry wysuszają:

Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co pacierz to ubywa.

Pyt. Czy gospodarz powinien się starać o osuszenie gruntu mokrego?

Odp. Powinien, bo mokra rola chleba nie da:

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

Ale i to też wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi — a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć.

Pyt. Czy gospodarz powinien, choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody?

Odp. Powinien, bo zasłania ludzi, bliźnich swoich od straty — z takim też będzie błogosławieństwo Boże:

Kto od szkody chroni braci,
Temu stokroć Pan Bóg płaci.

Pyt. Jakie ziarno powinno się brać do siewu?

Odp. Czelne, zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone.

Pyt. Jak gospodarz powinien uprawę ugoru prowadzić?

Odp. Podorywki nie opóźniać, dalszej orki nie przynaglać, ale z pługiem i radłem iść w pole, kiedy chwasty zaczną puszczać.

Jak już zobaczysz rolę zieloną,
Dopiero ruszaj z pługiem i broną.

Pyt. W jakim gruncie siać należy pszenicę?

Odp. W żyznym i dobrze uprawnym od dawien dawna, a nigdy w chudym i zaniedbanym.

Pszenny kołacz lepiej smakuje i więcej ma sytości od żytnego chleba — ale też mówi stare przysłowie:

Bez pracy,
Nie będzie kołaczy.

(z *Cz. N.*)

RÓŻNOŚCI.

Książę Panie-kochanku. Przed jakie stu laty żył sobie na Litwie książę *Radziwiłł.* Nazywali go „*Panie-kochanku*“ bo już miał taki zwyczaj, że co trocha powtarzał te słowa: „*Panie kochanku*“ gdy mówił do kogo albo coś opowiadał. Setny to był bogacz, mój Boże! niejeden z nas nie dorachowałby się tyle włosów na głowie, ile on miał wsi i różnych miast w swoim majątku. Ale i poczciwe było panisko — siła ludziom czynił dobrego i nieraz bywało tak, że kiedy wpadł w humor, to gotów ci był i koszulę zdjąć i dać drugiemu. Bardzo był też wesoły i do żartów jedyny; zwłaszcza kiedy jakiego *Niemca z Zamorza* podejmował u siebie (bo każdego zagranicznego nazywaliśmy zawsze niemcem) to tak długo medytował, póki mu dobrego figla nie spłatał. Trzymał on wiele niedźwiedzi na swoim dworze, ułożonych do posługi. Otóż gdy gość taki nadjeżdżał, zaraz służba dworska i czeladź chowała się, a zamiast niej stały wszędzie w około pałacu niedźwiedzie z wielkiemi pałkami, i przy bramie wjezdnej, i na ganku, i w sieniach niby warta jaka. Zdarzyło się raz, że zaprosił do siebie jakiegoś Włocha sławnego doktora; boć to oddawna jak w przypowieści: *Co Włoch to doktor, co niemiec to kupiec.* Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, mało nie umarł, kiedy wjeżdżając w bramę spostrzegł niedźwiedziska podnoszące się na dwóch łapach z pałkami, a żadnego człowieka nie widział. Jedzie dalej w dziedziniec, wszędzie niedźwiedzie, jak żołnierze w paradzie — wchodzi na ganek, a tu znowu niedźwiedzie — do sieni, a tu tego aże dwanaście rzędem stoi, a z ludzi ani żywej duszy. To już było za wiele dla Włocha — zbladł jak Piotrowin z grobu, co go wskrzesił święty Stanisław i struchlał tak, iż go dworzanie do pokoju wnieść musieli. Książę Radziwiłł zaś rzekł: — *Panie-kochanku,* ja inszej służby nie mam; u mnie wszelką służbę pełnią niedźwiedzie: służą za czeladź i ja jeżdżę niemi. — Niedosyć na tem. Zaledwie Włoch strachu się pozbył i dobrem winem się otrzeźwił, kiedy dano do stołu — książę posadził doktora przy sobie. Podczas obiadu radzi mu odmienić talerz — Włoch obraca się z talerzem i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem z talerzem czystym pod pachą. To go już do reszty dobiło, zbladł i zemdlał. Długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie. Ale już więcej tam nie zajrzał, choć książę Radziwiłł dobrze płacił doktorom.

Nie wolno kląć. W kraju Serbskim co to leży od nas het aż za Węgrami, wyszło niedawno temu takie prawo od rządu, że *kląć nie wolno.* Jeśliby kto nie posłuchał, a nieprzyzwoicie wyzywał na drugiego, zaraz ma być karany i to surowo. — Zdałoćby się i u nas takie prawo, oj dalibóg żeby się zdało! Ileż to razy na dzień nawyzywa się to gębsko nasze! Często gęsto nim jeszcze pacierz zmówią, wyzywa ojciec na matkę a matka na ojca aże brzydko. Dopiero od rodziców uczą się dzieci wyklinać na rozmaity sposób i prawie sobie z tego zabawkę czynią. A posłuchaj no w karczmie kiedy sobie chłopy w łby naleją, mój Boże! to uczciwe ucho od razu by spuchło od tych brzydkich wyrazów, co oni na siebie wymyślają. A niechno sąsiada poswarzy się z sąsiadą, o co nie trudno, bo dość żeby kurka przeleciała przez płot do ogrodu — jużci klnie jedna na drugą co się wlezie. Albo i przy robocie, byle was bydle nie usłuchało choć trochę — oho, jużcie go przyklinacie na czem świat stoi. I to takie wyzywanie za nic sobie macie, jakby to wcale grzechem nie było; chociaż ksiądz pleban uczy was że to grzech, i napomina nieraz i nie dwa i każe wam się z tego spowiadać. Moi ludzie! nie czekajcie aże prawo takie wyjdzie jak oto w kraju serbskim; bo *prawo Boskie* więcej znaczy jak *prawo ludzkie*, a według przykazania Boskiego: *nie wolno nam kląć.* —

Antek Szuba posłyszał, że u żydów lekka służba, bo nie znają się na robocie — przedewszystkiem, że jedzenia po uszy i mięsiwo tłuste. Mosiek Zylber potrzebował parobka — i Antek zaraz zgodził się do niego. Dnia pierwszego — a był to piątek — musiał drzewa narąbać huk i wody nanosić tyle, że dziw mu krzyże nie pękły.

— Dziś piątek i u was post — ozwał się Mosiek — a ja sumienny jestem człek i nie chcę, abyś ty religią swoją przełamał.

— Uchowaj Boże! — odrzekł Antek — ja też ani bym spojrzał dzisiaj na mięso.

— Ny, Siore, dajże mu na obiad dwa ogórki kwaszone — zwrócił się Mosiek do żony — i kawałek chleba, aby się najadł.

Antek spojrzał się, aż niby przerażony takim objadem.

— Ny, daj mu trzy ogórki — zawoła znowu Mosiek — niechże się obucha. Bierz go kaci!

„Oj! Oj!“ — pomyślał Antek i westchnął z głębi duszy. Taki, jak ten był obiad, którym miał się *obuchać*, były i następne, — to więc i tygodnia w służbie nie wytrzymał żydowskiej, a jeszcze miał i nie mało ambarasu zanim się uwolnił.

Redaktor: B. Bielawski. **Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.**